

# NA KONIEC ŚWIATA

## DZIECI Z PAHIATUA

Druga wojna światowa przyniosła wielu polskim dzieciom ogromny ból i cierpienie. W lutym 1940 r. rozpoczęto na terenach okupacji sowieckiej masowe deportacje Polaków do obozów pracy, głównie na Sybir i do Kazachstanu. Zabierano całe rodziny, nie patrząc na wiek domowników. Warunki transportu były fatalne, a to, co zastali zesłańcy na miejscu - wcale nie lepsze. Głód, zimno, choroby, brak pomocy. Ludzie nie mieli siły, by pracować. Traktowani jak niewolnicy musieli zmierzyć się z wieloma przeciwnościami, a szczególnie - skrajnym klimatem. Śmierć zbierała obfite żniwo. Mnóstwo dzieci zmarło, a wiele z tych, które przeżyły, utraciło swoich rodziców, czasem też rodzeństwo i zdane były na łaskę losu i obcych ludzi. Wielu potraciło nadzieję, że kiedykolwiek uda im się stamtąd wydostać. „Tak żyło się z dnia na dzień, czekając na śmierć. Jeden dzień wydawał się rokiem.” - wspomina siostra Stella (Józefa Wrotniak) wywieziona w głąb Związku Sowieckiego.

W pewnym momencie nadeszła wiadomość, że Polaków objęła amnestia i mogą opuścić łagry. Tłumy polskich wynędzniałych wygnańców ruszyły na południe, gdzie formowała się armia generała Władysława Andersa. Generał wyprowadził wojsko, a wraz z nim tysiące polskich cywilów z „domu niewoli”. Dzieci - sieroty trafiły do Iranu, a potem porozsyłano je w różne strony świata. Niektóre wyjechały do Meksyku, do obozu w Santa Rosa. Inne - do Indii niedaleko Jamnagar, gdzie zostały pod opieką księdza Franciszka Płuty oraz maharadży Jam Saheba. Trafiły też do Przylądka Dobrej Nadziei, Kenii i Ugandy. Kolejne wyjechały do Libanu, a niewielka jedyne część - do Pahiatua w Nowej Zelandii.

Wszystkie zostały rzucone na głęboką wodę, nie znały bowiem ani języków, ani zwyczajów ludzi w innych krajach. Po dramatycznych doświadczeniach życiowych, zagubione, niepewne dalszego losu, bez rodziny... Marzyły o normalnym dzieciństwie, bez głodu, bez codziennego strachu o życie, co w dzisiejszych czasach trudno pojąć. Wtedy pojawiło się jednak światełko w tunelu, szansa na lepsze życie – na końcu świata...

Dla grupy sierot wiadomość o planowanym przewiezieniu ich z Isfahanu do obozu w Nowej Zelandii była niezrozumiała, wydawała się wręcz niemożliwa do spełnienia. „Wiadomość o zaproszeniu przez rząd Nowej Zelandii grupy dzieci polskich wraz z opiekunami i ich wyjeździe do tamtego kraju krążyła długo, chyba z rok. Niektórzy przestali już nawet w to wierzyć.” - mówi Dioniza Choroś (Gradzik). A jednak, stało się. Lista dzieci mających udać się do nowozelandzkiej miejscowości Pahiatua liczyła 733 nazwiska. Wyposażone jedynie w małe, tekturowe walizeczki zawierające rzeczy osobiste i kilka książek polskich, które każdy miał obowiązek przywieść ze sobą, wyruszyły w długą podróż do „lepszego świata”.

Rozpoczęła się ona 27 września 1944 roku. Po podróży przez pustynię, gdzie było straszliwie zimno, dzieci dotarły do Sułtanabadu. Zajęli się nimi stacjonujący tam amerykańscy żołnierze, którzy chętnie częstowali ich smakołykami i zabawiali. Bariera językowa nie miała w tym momencie znaczenia, dogadywali się na migi, poprawiając sobie

nawzajem humor. Nie trwało to jednak długo, gdyż trzeba było ruszać w dalszą drogę. Wszyscy wsiedli do pociągu, którym dotarli do Ahwazu. Na miejscu jednak nie było bynajmniej wspaniale. „Umieszczono nas w obozie przejściowym, w dawnej stajni po kawalerii irańskiej. Rzeczy złożyliśmy w pozostałych żłobach, spaliśmy na twardych pryzkach” - wspomina jeden z małych tułaczy. Spędzono tam sześć dni. Potem dzieci wsiadły na pokład statku Sonaty w porcie w Chorramszahr. Do spania dostały jedynie materace, a po pokładzie chodziły szczury. Nocą podróżnicy patrzyli w niebo, podziwiali te same gwiazdy, które widoczne były z ich ojczyzny, oddalonej o tysiące kilometrów, pograżonej w smutku i strachu, walczącej o istnienie.

W końcu 14 października statek wpłynął do portu w Bombaju. Trzeba się było przesiąść na okręt gigant USS General G.M. Randall. Dzieci były niezmiernie zadowolone, ponieważ czekały tu na nie czteropiętrowe łóżka-hamaki, dwa posiłki dziennie oraz prysznice z gorącą wodą. Pomogło to pozbyć się biedakom wysypki powstałej z powodu słonej wody i potu. Wielki uśmiech, który był rzadkim widokiem w tamtym okresie, wywołali żołnierze częstujący dzieci czekoladą i grywający z nimi w piłkę. Dzięki pasom ratunkowym i ciągłym zapewnieniom załogi, w ich sercach zagościło po raz pierwszy od czasu deportacji poczucie bezpieczeństwa. Pojawiła się też nadzieja, że może lata młodości jeszcze nie są całkowicie stracone...

Wielki strach nadszedł jednak pewnej nocy, gdy wstrząs i huk wypadających szuflad postawił wszystkich na nogi. To była torpeda, która na szczęście jedynie otarła się o burtę i poszła dalej. Z eskortą bliźniaczego okrętu dopłynięto do Melbourne, a dalej już samotnie.

31 października 1944 r. „General Randall” wreszcie dotarł w pobliże Nowej Zelandii. Następnego ranka w porcie Wellington przywitano niezwykłych podróżnych dźwiękami orkiestry, wręczono dzieciom pakunki ze słodyczami i wysłano w ostatni etap podróży – pociągiem do Pahiatua. „W Nowej Zelandii przywitały nas tłumy ludzi. Rozdawali małe prezenty. Gdy prowadzono nas do pociągu, ktoś z tłumu włożył mi do ręki cukierek. Z tego, co pamiętam, wyglądał jak mały herbatnik, ale miał inny kolor i smakował niebiańsko. Był to mój pierwszy cukierek w życiu.” - wspomina Ryszard Gołębiwski.

Na zachowanych zdjęciach widać premiera Petera Fräsera witającego z uśmiechem tułaczy dzieci - malców trzymających się kurczowo krzepkich żołnierzy i ucieszone starsze dzieci prowadzone przez wojskowe pielęgniarki.

Dzieci zawieziono do „Polish Children’s Camp”. Tam wreszcie odczuły ulgę. Pokonały długą i trudną drogę, a przed nimi pojawiła się szansa na nowe, spokojne życie. Kiedy rozpoczęły naukę, pozostały już jedynie problemy takie jak nauka języka angielskiego i ogromna ilość prac domowych. „W obozie w Pahiatua mieliśmy wielu kolegów, opowiadaliśmy swoje przygody, śmiałyśmy się, śpiewali, tańczyli, psocili i podtrzymywali nasze obyczaje” - wspomina Lech Lubas.

Nowozelandczycy byli bardzo mili, w okresie wakacyjnym zabierali dzieci do swoich domów, by te mogły zwiedzać okolice i poczuć się beztrosko. „Myślę, że teraz nie znalazłoby się wielu chętnych, aby zaprosić do swego domu nieznaną im dzieci z sierocińca, bez języka

angielskiego. Ta pani zaprosiła nas dwie, Władzię Węgrzyn i mnie. Trudno uwierzyć, jak wielu innych Nowozelandczyków postąpiło podobnie i nasz pociąg był pełen polskich dzieci z obozu Pahiatua. Każde dziecko miało przyczepioną karteczkę z nazwiskiem gospodarzy i nazwą stacji(...) Gdy „nasza pani” odnalazła Władzię i mnie, przywitała nas serdecznie, a my w odpowiedzi uśmiechałyśmy się i skinęłyśmy głowami. Byłyśmy grzeczne, tylko niepewne, jak mamy się zachować.” opowiada pani Emilia Handerson. „Szalałam ze szczęścia. Po dwóch latach chorowania na malarię i polykania tysięcy tabletek, po osłabieniu takim, że nie mogłam wejść po schodach, po ciągłych pobytach w szpitalach i straconych lekcjach, byłam nareszcie zdrowa. Mogłam chodzić po górach, kąpać się w rzece i grać w siatkówkę. Byłam normalną nastolatką” - wspomina pani Dioniza Choroś (Gradzik). Ciepło o polskim obozie wypowiada się Halina Morrow (Flądrzyńska) : „W obozie miałam beztrudne życie. Od czasu do czasu coś przeskrobałam, za co byłam karana, np. nie wolno mi było oglądać jakiegoś filmu. Ale stopniowo dorastałam i po trochu mądrzałam.”

Niektóre starsze dzieci chodziły do pracy poza obozem, najczęściej w zakładach lub fabrykach. Do obozu przyjeżdżały natomiast na wakacje. „Wyglądały na zadowolone, stroiły się w gustowne sukienki i opowiadały o swoim życiu w miastach, co mnie bardzo pociągało” – wspomina jedna z młodych Polek.

Po ukończeniu VI klasy szkoły podstawowej wysyłano dzieci do gimnazjów, gdzie pojawiły się poważniejsze problemy z powodu braku znajomości angielskiego, gdyż w klasach były przede wszystkim dzieci z Nowej Zelandii. Polscy uczniowie musieli jakoś sobie radzić, szukając różnych sposobów douczenia się języka obcego.

Kultura polska pomimo tak wielkiej odległości od ojczyzny nie zanikła. W obozie często przestrzegano dzieci, by nie traciły własnej tożsamości, a one starały się tego przestrzegać. Utworzono, m.in. zespół poloneza, gdzie tańczono tradycyjne tańce ludowe oraz śpiewano polskie piosenki. Grupa miała okazję wystąpić na koncercie w Wellington w 1953 roku. Należeli do niego między innymi Krystyna Niedźwiecka, Irena Niedźwiecka, Teresa Czochańska, Krystyna Skwarko oraz Marcin Babczyszyn, który był kierownikiem zespołu.

Z czasem wiele osób poszło do pracy w stolicy i innych miastach. Niektórzy zdecydowali się na wyjazd, jak np. siostra Stella. „W tym dobrobycie czegoś mi brakowało. Utwierdziłam się w przekonaniu o moim powołaniu do zakonu i nie chcąc być w klasztorze angielskim, udałam się do księdza Platera, który wskazał mi Zgromadzenie Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu i załatwił wszelkie formalności związane z podróżą do Rzymu na studia. Święta Bożego Narodzenia spędziłam ostatni raz w Pahiatua wraz z moimi dwiema młodszymi siostrami. Zapytałam je, czy mogę wyjechać do zakonu za granicę. Z bólem serca odpowiedziały: „Tak, jeżeli będziesz tam szczęśliwa, to jedź” – wspomina zakonnica.

Wojna dobiegła końca i pojawił się dylemat – co dalej? Po konferencji w Jalcie tereny, z których pochodziła większość dzieci, zostały włączone do ZSRR. Następnie przyszła wiadomość, że zaprzestano uznawania Rządu Polskiego w Londynie, co wiązało się z brakiem finansów na opłacanie nauki w obozie. Gimnazjaliści i inne starsze dzieci musiały więc zacząć pracować. Dioniza Choroś opowiada o tym, jak malowali ozdobne motywy na wyrobach z drewna sprzedawanych później w stolicy. Wiedzano już wtedy, że powrotu do

Polski nie będzie, a marzenia wielu osób musiały pozostać tylko marzeniami, nieuchwytnymi i odchodzącymi w niepamięć... „Byliśmy bardzo zawiedzeni, gdy po 1945 roku rządy nad Polską przejęli komuniści. Wszyscy dobrze wiedzieliśmy, na czym polega reżym Stalina i że nie będziemy tam bezpieczni” - opowiada siostra Jadwiga (Maria Rombel).

Większość pozostała w Nowej Zelandii – znalazła pracę, założyła rodzinę. Ta część młodych, którzy wyjechali z Nowej Zelandii w różne zakątki globu, zaczynała tęsknić za czasem spędzonym tam, daleko, zdążyli bowiem pokochać Pahiatuę, Wellington i ich okolice. Halina Morrow wyjechała do Anglii. „Była tu jesień i już tęskniłam za Nową Zelandią”- wspomina. Znalazła pracę, z której była bardzo zadowolona, ale nie została tam jednak. Poznała swojego przyszłego męża, z którym najpierw wyjechała do Ameryki, by powrócić za jakiś czas właśnie do Nowej Zelandii, gdzie tak naprawdę było jej serce.

Zdarzało się, że dzieci z Pahiatua, już jako dorosłe, odwiedzały swoją ojczyznę, na przykład Czesława Panek (Wierzbińska), która przyjechała do swojego brata, by spędzić z nim Boże Narodzenie. „Czułam się tu obco i buntowałam się przeciw niesprawiedliwym przepisom państwowym” - mówi. Miała także kłopoty z milicją i nie chciała zostać w PRL-u na stałe.

Do dziś wiele osób przebywających w tamtym czasie w obozie zadaje sobie pytanie, kim są obecnie? - Polakami, czy może bardziej Nowozelandczykami? Stefania Sondej (Manterys) opowiada, że kiedy odwiedza Polskę, zachwala Nową Zelandię, jej przyrodę, tradycję i kulturę. Jednak z krajem przodków jest mocno związana, ma tutaj swoich bliskich i nie jest w stanie odpowiedzieć sobie jednoznacznie na to pytanie. Krystyna Tomaszuk (Skwarko) podkreśla, iż mówi i pisze zarówno po polsku jak i angielsku, myśli, a nawet się modli w obu językach. Kiedy przebywa w Polsce, czuje się Polką, ale inną. O Nowozelandczykach mówi „my” a, o tym kraju - „mój dom”.

Bez wątpienia Nowa Zelandia stała się domem dla małych polskich wygnańców. Targane falami losu znalazły tam wreszcie swoją spokojną przystań. Trafiły na koniec świata, gdzie spotkały ludzi o otwartych ramionach i sercach. Zapiski dzieci z Pahiatua pokazują, jak bardzo ceniły okazywaną im dobroć. I po wielu latach, już jako seniorzy, wciąż na różne sposoby okazują wdzięczność wszystkim, którzy wyciągnęli do nich pomocną dłoń.

Obecnie żyjemy w zupełnie innych czasach. Choć nie ustają konflikty na świecie, w Polsce nie wiemy, co to głód, poniewierka, niepewność jutra, zwłaszcza z perspektywy małego dziecka. Więc teraz, kiedy żyjemy w wolnej ojczyźnie, powinniśmy „Sławić wszystko, co polskie, kochać swój naród, czcić jego przeszłość i wierzyć w jego przyszłość”, jak powiedział nasz wielki rodak Henryk Sienkiewicz.

Magdalena Kowal, kl. 3 c gimnazjalna

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Marii Konopnickiej w Miechowie